

Na podłogę rzucono dywan o jaskrawych niegdyś, teraz już wyblakłych barwach, ale zakrywał on niewielką tylko przestrzeń. Deski podłogi były nierówne, dawno widocznie niemyte.

Walały się po nich ogryzki jabłek, skorupki jaj, mocno czosnkiem zalutujące skórki wędlin i śnieci. Snać nie zamiatano tutaj wcale tego dnia.

— Al Pan Potyrowski!... Moje uszanowanie... — rzekł Gelbfisz.

W tonie, w jakim przemawiał brudny chałciarz do tak eleganckiego gościa, nie brzmiała nie tylko żadna nuta uniżoności, ale, przeciwnie, dźwięczało tam coś, jak lekceważenie.

Ze sposobu podania ręki i ze spojrzenia Gelbfisza można było wywnioskować, że „uszanowanie” jego dla pana Potyrowskiego jest bodaj że tylko słowne.

— Dzień dobry panu, panie Gelbfisz! jakże pańskie zdrowie?...

— Nu, ja się jeszcze jakoś trzymam... Pan potrzebuje miecz do mnie interes?... — zapytał Gelbfisz, siadając wygodnie w starym, wyściełanym fotelu.

— Tak jest, mam do pana interes... Pan się może domyśla, jaki?...

Żyd uśmiechnął się pod siwym zarostem.

— Nu, co ja sze mam domiszlacz?...

Pan Potyrowski poruszył się nagle niespokojnie i szybko przesiadł się z otomany na stojące obok krzesło.

— Dlaczego pan nie siedzi na otomane!... To jest „fajn” otomane, śliczny mebel. Ja ją kupiłem, bo to był „a Gelegenheitskauf”...

— Tak... tak... ale ja wolę na krzesło...

I Potyrowski podejrzliwie spojrzał na pluszowe, prawdopodobnie oddawna nie trzepane pokrycie otomany.

— Ja panu co powiem! Niech pan sobie szadzie na ten drugi stółek, bo ten, to un jest trochę kulawy... Un się może przewrócić...

Potyrowski znowu zmienił miejsce, poczem zaczął:

— Panie Gelbfisz, pan wie, że ja prowadzę interesy dla wielkich firm...

— Nu, co ja nie mam wiedzieć?... ja wiem dużo, ja wiem wszystko, co mnie trzeba wiedzieć... ja panu powiem, co ja wiem więcej, niż sze pan spodziewa...

Z pod swoich ciężkich, sinawych powiek Gelbfisz chytrze i znacząco zerknął ku gościowi.

Potyrowski nagle utkwiał wzrok w końcach swoich błyszczących, jasno-żółtych butów i zaczął obracać na palcu pierścionek z brylantem.

— Panie Gelbfisz, pan jesteś człowiekiem interesu i ja jestem człowiekiem interesu... Powiniśmy się łatwo porozumieć...

— Dlaczego my się nie mamy porozumieć?

— Uważa pan, ja mam firmę, lokal, prezen-cję, stosunki towarzyskie, nazwisko...

— Wie haisst nazwisko? — mruknął Żyd. — Co to jest nazwisko?... Każdy ma nazwisko, a czasem to może bicz taki, co ma i dwa i trzy nazwisko...

Błysk zmieszania przemknął w zielonawych oczach Potyrowskiego.

— Panie — zaczął bardzo szybko — pan wie, kto to jest Maks Perlbrenner w Wiedniu?

— Dlaczego ja nie mam wiedzieć?...

— A „Bernard Eichenbaum u. Söhne”?

Gelbfisz poważnie skinął głową.

— Ja, uważa pan, pozostaję w stosunkach z temi firmami i...

Uśmiech trochę ironiczny przewinął się po ustach sklepikarza.

— Nu, czy ja to nie wiem, że pan jest ich człowiek? Gelbfisz wszystko wie...

Gość przez chwilę przygryzał koniec swego rudawego wąsa. Potem spojrzał żydowi bystro w oczy i poufałym, przyjacielskim tonem zaczął:

— Tem lepiej, że pan wszystko wie... Nie będzie trzeba dużo słów tracić... Prędko ubijemy interes.

— Geschäft ist Geschäft... — odpowiedział sentencyjnie Gelbfisz i dodał:

— Ja już potrzebuję wiedzieć, o co się panu rozchodzi... Tylko pan niech mnie powie: jaki towar, ile i jaka cena...

— Jaj trzy wagony na razie...

— Może sze zrobisz...

— Masło...

— I to może bicz...

— Wczesne ziemniaki...

— To sze zobacz...

— Kawa, herbata, ryż, korzenie...

Gelbfisz zsunął brwi w namyśle.

— Ciężko...

— Całe ryzyko eksportu bierzemy na siebie... kosztą składowe także...

— A co ja na tem zarobię...

— Pan zarobisz...

Potyrowski wymienił kilka cyfr. Gelbfisz wyjął załuszczonego notatnik i, pośliniwszy ołówek, zaczął obliczać, szepcząc liczby w żargonie.

— To jest mało — zdecydował wreszcie — pan sobie liczy zaduży procent...

— Panie Gelbfisz...

— Panie Potyrowski, my sze znamy, my sze rozumiemy. Ja tak nie mogę... Ja mam ryzyko... Teraz to wszystkie gazety robią straszny „gewalt”, co się z Galicyi wywozi... Koło mój sklep, to sze ciągle kręca takie różne panowie... nu, pan już wie, jakie panowie... co oni by mnie chcieli mój towar trochę skonfiskować... To ja nie mogę robisz ryzyko, jak za dobrą cenę...

— Ja panu daję dobrą cenę... Pan więcej nie dostaniesz od nikogo.

— To sze zobaczy... A panu powiem, co pan te jaja, to masło i te ziemniaki bez Gelbfisza także nie dostaniesz...

Zaczęły się targi, obliczania, kalkulacje, które trwały przeszło pół godziny. Nareszcie doszli do porozumienia.

— Zrobione... — wyrzekł Potyrowski, ocierając woniejącą chusteczką czoło, na które wystąpiły krople potu.

— Gemacht...

W tej chwili do pokoju wsunęła się czarno-włosa Reginka.

Potyrowski szybkim, ognistym spojrzeniem obrzucił przystojną dziewczynę, ale ona nie zwróciła na to uwagi, lecz, pochylając się do ojca, szepnęła:

— Gaździna przyniosła tłustą kurę... Chce dwa kilo cukru i kilo nafty... Dać?...

— Cukier daj — odparł cicho ojciec — a jak ona chce nafty, to niech da jeszcze piętnaście jaj.

Reginka skinęła głową na znak zrozumienia i wyszła.

— Ładną pan masz córkę, panie Gelbfisz — rzekł Potyrowski, naciągając na ręce skórkowe, jasne rękawiczki.

Twarz Gelbfisza rozjaśniła się, jakby na nią padł promień słońca. Zabłyśły mu oczy, rozśmiały się usta, zdało się nawet, że wygładziły się zmarszczki na czole.

— Prawda?... To śliczna dziewczyna! A jaka ona mądra, jakie ona ma „kiepele”, to jest brylant — nie dziewczyna!... ja mam osiem dzieci, ale Reginka to jest moje „kindeleben”.

Rozczulonym wzrokiem spojrzał na perkalową firankę, która kotłowała się jeszcze, poruszona silnie przed chwilą ręką Reginki.

— No, to do widzenia, panie Gelbfisz... A jak ja mogę stąd wyjść tak, żeby mnie możliwie nikt nie widział?...

Gelbfisz pokiwał głową z uznaniem.

— Pan jest ostrożny!... To jest dobrze, to jest nawet bardzo dobrze. Pan potrzebuje być ostrożny!... Pan sobie nie daj, coby panu zagladali do pańskie interesy...

— Już ja wiem...

— Ja panu powiem, co pan sobie „dosku-nałe” znalazł mieszkanie... U pani Żarnickie to jest „prima” lokal... Taki porządny dom, taka dama, taka szanowna obywatelka... To nie żal płacić...

— Ja jej też dobrze zapłaciłem...

— Ja wiem, co jej pan dobrze zapłacił, bo ona dla pana wyrzuciła tamte lokatory... Ale ja panu jeszcze powiem słówko...

— Słucham, tylko prędko, panie Gelbfisz...

— Ja prędko powiem... Pan potrzebujesz tutaj być „ein populärer Mensch”, coby oni pana lubili i szanowali... Pan sze może nawet zareczyć z jaką łykowską panią... To nie szkodzi, a jej familia to już panu robi taką opinię, że pan jest „cymes”, nie człowiek...

— To już moja prywatna rzecz, panie Gelbfisz — odparł z godnością Potyrowski. — To do interesu nie należy...

— Czemu nie należy?... Należy. Ale jak pan nie chce, to nie! ja panu dobrze radził.

Potyrowski odelchnął z ulgą, kiedy wydo-stał się wreszcie z niezbyt mile woniejącego mieszkania sklepikarza i, przeszedłszy przez podwórze, znalazł się na ulicy.

Kiedy mijał sklepik Gelbfisza, miał minę człowieka, który do tego rodzaju nędznych krami-ków nie zagląda nigdy i z właścicielami ich nie pozostaje w żadnej styczności.

Szybko przebiegł ulicę i skierował się w stronę miejskiego ogrodu.

U wejścia do głównej bramy błysnęła mu niebieska parasolka i zamigotała tej samej barwy suknia panny Mici Kożuchowskiej.

— Najniższe uszanowanie!... Całuję rączki!... Dzień dobry!...

— Ach! To pan! Dzień dobry!... Doprawdy, nie poznałam pana w pierwszej chwili!

Micia zachichotała zupełnie niepotrzebnie.

— Jakże zdrowie mamusi dobrodziejki!... Pani pytać nie potrzeba... bo wygląda pani, jak pączek róży w wiosenny poranek — wyrzekł z patosem Potyrowski.

Micia usiłowała się zarumienić i skromnie opuściła powieki po to, aby je zaraz podnieść...

— Dziękuję panu... Mamusia jest zdrowa, tylko trochę zmęczona tym dniem „kwiatka”... Będzie pan dzisiaj na zebraniu sprawozdawczym komitetu?...

— Oczywiście! jestem przecież skarbnikiem... — Prawda!... Proszę pana, podobno rezultat kasowy jest bardzo mały?...

— A tak, nieświeży... Czysty dochód wynosi 25 koron 78 halerzy...

— To Tyssowska urządzi znowu awanturę!... Ale to nic nie szkodzi. Zało zabawiliśmy się doskonale... — Micia rzuciła na Potyrowskiego załotne spojrzenie z pod swoich, trochę już żółtych powiek.

— Cudownie!... Proszę pani, może skróćmy w tę boczną aleję?...

— Możemy, owszem... — Micia uczuła miłe w sercu wzruszenie. Była bowiem przekonana, że Potyrowski, aby rozmawiać z nią swobodniej, pragnie zejść z głównej alei.

Mylili się jednak. Potyrowskiemu w tej chwili nie o sam na sam z panną Micią chodziło. Dojrzał on zdala wysmukłą sylwetkę Łuniewskiego, a wolał uniknąć tego spotkania...

— Jakże podobały się panu nasze panie i panny? — zapytała Micia, zamykając parasolkę, kiedy się znaleźli w cienistej, wilgotnej nieco, bocznej alejce...

— Jedną mam tylko parę oczu i na jedną tylko damę patrzyłem... — odparł Potyrowski, spoglądając na nią znacząco...

— Ei Pan tylko tak sobie mówi, jak mamę kocham...

— Zupełnie seryo, słowo uczciwego człowieka!...

— Jaki i na tę młodą Żarnicką pan nie patrzył? Ogłosili ją przecież za ósmą cud świata...

— Doprawdy, nie uważałem...

— Ja, bo w niej nic nadzwyczajnego nie widzę. Kokietka i tyle!... Miał się też z kim Żarnicki żenić!... I aż w Pradze ją ułowił!

Potyrowski przystanął nagle.

— W Pradze? — zapytał.

Micia spojrzała na niego zdziwiona.

— Tak. W Pradze. Był tam podobno jakiś... jakiś skandal... Czy pan już słyszał o tem?...

— Ach! Nie... nie... — rzucił z rozziębieniem. — Nie słyszałem...

Micia zaczęła mu opowiadać historię małżeństwa Żarnickich w tej wersji, jaka krążyła w Łykowie.

Potyrowski słuchał bardzo nieuważnie, bo w mózgu jego snuła się myśl:

— Aha! W Pradze!... Że też ja odrazu nie przypomniałem sobie!... A taka mi była znajoma!... To przyjaciółka Żurakowskiej!... Czy ona mnie też poznała!... A! Dyabli nadali tę sikorę!...

## ROZDZIAŁ X.

— Kto cię prosił, żebyś tej żebraczce zano-siła chleb? — zapytała ostro pani Żarnicka, zastępując drogę synowej, która szła z kuchni z dzbankiem, pełnym wody.

— Ta kobieta wyglądała na chorą i tak bardzo prosiła o kawałek chleba, że...

— Że uznałaś za stosowne okarmiać ją białym, drożdżowym chlebem!... Żeby mnie jeszcze taka baba obniosła po mieście, że białe pieczywo jadamy!... Moja droga, łatwo jest być do-broczynną z nieswojej kieszeni.

— To był mój kawałek chleba. Nie zjadłam go na podwieczorek. — powiedziała cicho Józia.

Teściowa zmierzyła ją ironicznie, wyniosłym spojrzeniem.

— Twój? — wyrzekła, dobitnie akcentując — A cóż ty tutaj masz swojego?!

(Ciąg dalszy nastąpi.)